

Katarzyna Anna Weiss

Gra

w

kapsle



czyli autolustracja dziecka PRL-u

OGENZUROWANIE



Katarzyna Anna Weiss

Gra w kapsle
czyli autolustracja dziecka PRL-u

© Copyright by
Katarzyna Anna Weiss & e-bookowo

Projekt okładki:
AKA Design Anna Kamonciak

ISBN 978-83-7859-228-0

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie II 2013

Katarzyna Anna Weiss *Gra w kapsle*

*Markowi i Lenie, z nadzieją, że świat, w którym żyjemy stanie się
kiedyś naprawdę przyjaznym miejscem – zwłaszcza dla dzieci*

**„Zaufaj.
Czyż płatki kwiatów nie sypią się w dół
tak jak trzeba?”**

Matsuo Bashō

PODZIĘKOWANIA

– Rodzicom – za to, że chwilowym wspólnym wysiłkiem powołali mnie na ten świat ;) oraz za trud włożony w moje wychowanie (jak wiadomo, bycie rodzicem w PRL-u wymagało wszechstronnych umiejętności oraz solidnej kondycji fizycznej i psychicznej...)

– Robertowi – za wyrozumiałość i pomoc w nieuniknionych sprawach życia codziennego, a w szczególności za niekonfliktowe podejście do „syndromu pustej lodówki”.

– Agnieszce F. – za wsparcie moralne, duchowe, psychiczne i praktyczne we wszystkich ofiarowanych mi formach oraz za zrozumienie w kwestii „niecierpiących zwłoki” wyjazdów do Wiednia.

– Christiane B. – za każdorazową możliwość oderwania się od polskiej rzeczywistości i za sprowadzanie rzeczy do właściwej skali.

– mojej nieocenionej teściowej Uli, bez której nie udałoby mi się napisać w spokoju ani linijki, bo z każdej strony ciała wisiałoby na mnie domagające się uwagi, karmienia lub przewinięcia dziecko, a także za „awaryjne” domowe obiady.

– Kasi T., Gosi J. i Justysi K. – za duży wkład w mój rozwój i lekko ironiczny dystans do rzeczywistości oraz za

odlotowe imprezki.

– dr Krzysztofowi K., już niemal habilitowanemu – za wspólnie robione „jaja”, entuzjazm i inspirację, która przetrwała lata.

– Anicie i Darkowi B. – za wspomnienia, fakty i rozmowy.

– wszystkim, którzy kiedykolwiek i gdziekolwiek byli moimi Uczniami – dzięki za cierpliwość i wyrozumiałość, zawsze starałam się nie „przynudzać”, z różnym skutkiem zapewne; wiele się od Was nauczyłam, i być może dziś w niektórych sytuacjach postąpiłabym zupełnie inaczej...

– wszystkim, którzy stanęli na mojej drodze życia – bez Was nie byłabym tym, kim jestem i nawet jeśli nie mamy ze sobą kontaktu, zapewniam, że każde z Was ma ciepły kącik w moich myślach.

– jeszcze raz Kasi T. – za wsparcie, trzymanie kciuków i cenne wskazówki.

– i *last, but not least* – niektórym naszym Drogim (również w dosłownym znaczeniu) Politykom – dziękuję za nieustanną inspirację i liczne punkty odniesienia; kochani – bez waszego codziennego trudu, mozolnego wydeptywania kularów sejmowych, czasochłonnego zasiadania w komisjach i ławach poselskich, bez walki z układem, ogólnopolskiej lustracji, dekomunizacji, a nawet de-postkomunizacji ta książka z pewnością by nie powstała. Życzę Wam z całego serca byście odtąd świecili nam w mediach gruntownie

Katarzyna Anna Weiss *Gra w kapsle*

zlustrowanym przykładem i na prawo, i na lewo, i we wszystkich innych opcjach. Lustrując innych powtarzajcie sobie jak mantrę „Nie ma człowieka, który nie popełniłby czegoś nieuczciwego” (Oscar Wilde). Was zlustruje historia.

Wasze poczynania śledzą także dzieci – drugiej, trzeciej, a nawet czwartej RP. To zobowiązuje. A na dzieci najlepiej działa **dobry przykład**.

Katarzyna Anna Weiss *Gra w kapsle*



Foto. Autorka na tle osiągnięć Polskiej Ludowej (osiedle z wielkiej płyty i szkoła 'tysiąclatka'), Katowice 1971

„Nie ma takiej krzywdy, której by nie można
przebaczyć”.

Kard. Stefan Wyszyński

„Sympatia lub nienawiść odmieniają twarz
sprawiedliwości”.

Blaise Pascal

„Puste beczki i głupcy robią dużo hałasu”.

Plutarch

Droga Czytelniczko, drogi Czytelniku!

Dziękuję za zainteresowanie niniejszą „pozycją książkową”. Jest to poprawiona i gruntownie oceniona wersja pierwszego wydania, które ukazało się pod tytułem „Gra w kapsle czyli autolustracja dziecka PRL-u” w roku 2008 nakładem wydawnictwa Vesper.

Książka ta była odpowiedzią sfrustrowanej matki karmiącej na ówczesną sytuację polityczną w naszym kraju. Dziś (nie)wiele się zmieniło (niepotrzebne skreślić), ale najważniejszą zmianą jaka miała miejsce w moim życiu była

decyzja o zdobyciu kwalifikacji coacha, trenera potencjału osobistego oraz trenera świadomości i komunikacji międzykulturowej.

Duży wpływ na moją terażniejszość wywarł również fakt, że przez ostatnich kilka lat miałam przyjemność pracować jako wykładowca na jednym z angielskich uniwersytetów, co było bardzo pouczającym i ciekawym doświadczeniem, przede wszystkim na poziomie komunikacji międzykulturowej.

Lustracja nie jest już tematem wywołującym dyskusje w mediach, toteż naturalnym biegiem rzeczy wydanie tej książki w formie ebooka daje mi możliwość pewnej ingerencji w treść, idąc zresztą za sugestiami moich dotychczasowych czytelników. Otóż niektórzy czytelnicy proszą grzecznie o to, by skupić się li i jedynie na PRL-u pomijając inne wątki polityczne, nawet jeśli miały one swoje uzasadnienie w burzliwych czasach IV Rzeczypospolitej. Z wielką radością i entuzjazmem neofity zabrałam się zatem do dzieła zwanego cenzurą. Z „Gry w kapsle” z hukiem wyleciały wszystkie ‘niestosowne’ fragmenty. Została kwintesencja PRL-u w oczach dziecka i ‘młodzieży szkolnej’. Oryginalny tytuł również zostaje, bo jak ktoś mądrze napisał w ulotce reklamującej wystawę artystyczną pod tytułem „Lustracja” otwartą w listopadzie 2007 w poznańskiej Galerii Piekary „Zakwestionowanie niektórych zapisów ustawy lustracyjnej w istocie zawiesiło jej działanie. Lustracja miała obnażyć całą

prawdę o przeszłości Polaków oraz wyzwolić teraźniejszość od widm i upiorów nawiedzających ją wskutek braku rozliczenia minionych grzechów, a wszystko po to, by żadne mroczne tajemnice nie stwarzały przeszkód w naszym marszu ku świetlanej przyszłości. Wobec zachwiania politycznej woli i determinacji w doprowadzeniu lustracji do końca, konieczna jest lustracja artystyczna. Wobec przekształcenia polityki realnej w tragikomiczną burleskę, tylko sztuka, zwłaszcza ta ironiczna, może nadać konieczną powagę publicznemu dyskursowi (...)”. I choć niniejsze dzieło w żadnym wypadku nie aspiruje do miana szeroko pojętej sztuki, nieco ironii z pewnością udało mi się tu przemyścić.

Wszystkim rozsądnym i sympatycznym Czytelnikom bardzo dziękuję za opinie, komentarze i uwagi. Niektórzy donosili mi, że czytając „Grę w kapsle” w miejscach publicznych i środkach transportu, w tym nawet w pociągach PKP (którym sama poświęciłam nieco uwagi), zdarzało im się wybuchać gromkim śmiechem, nie bacząc na zdumionych współpasażerów. Inni pisali do mnie w mediach społecznościowych dzieląc się wrażeniami i własnymi wspomnieniami. Wszystkim, których z różnych przyczyn nie byłam w stanie odpowiedzieć osobiście również chciałabym tutaj bardzo podziękować i serdecznie przeprosić. Czasem w życiu (w moim w zasadzie niemal non stop) zbyt wiele dzieje się na raz.

Katarzyna Anna Weiss *Gra w kapsle*

Poniżej zamieszczam jednak wstęp do wydania pierwszego, które ukazało się pod tytułem „Gra w kapsle czyli autolustacja dziecka PRL-u” w roku 2008 nakładem wydawnictwa Vesper, aby Czytelnicy lepiej mogli zrozumieć kierujące mną intencje twórcze.

Dziękuję za inwestycję w format elektroniczny tej książki i życzę milej lektury.

Z pozdrowieniami,
Kasia Weiss

Preston – Tarnowo Podgórne – Międzywodzie 2013

Wstęp do wydania pierwszego

Moje wczesne „świadome” dzieciństwo to pierwsza połowa lat siedemdziesiątych. Zgodnie z obowiązującą ustawą kwalifikuję się zatem do lustracji. Nie dość bowiem, że urodziłam się przed rokiem 1972, to jeszcze w czasach studenckich opublikowałam kilka tekstów w prasie lokalnej, a nawet jeden w czasopiśmie o zasięgu ogólnopolskim.

Nadmiar wakacyjnej wolności najwyraźniej uderzył mi do głowy. Czując pociąg do pisania udałam się do najbliższej redakcji w celu zaproponowania mojej skromnej osoby na staż, nawet i bezpłatny.

Ówczesny redaktor naczelny „Nowin Gliwickich” trochę się najpierw dziwował, bo sprzedając szaszłyki w dowolnej nadmorskiej miejscowości zarobiłabym krocie. Uprzejmy ten człowiek uczciwie zeznał, że owszem, na staż mnie przyjmie, ale w ramach gratyfikacji ma do zaoferowania jedynie parę złotych wierszówki. – Pal licha wierszówkę! – powiedziałam z gestem. – Liczy się doświadczenie, które tu nabędę. Matka z ojcem z domu mnie chyba nie wyrzucą, a i do jedzenia coś się w lodówce znajdzie.

Widząc, że ma przed sobą prawdziwą desperatkę, redaktor zaprowadził mnie do dwojga doświadczonych

współpracowników, niewiasty o blond fryzurze w modnym wtedy stylu Farah Fawcett-Majors z „Aniołków Charlie’go” i mężczyzny słusznej postury, których nazwisk niestety, nie pomnę. Podziwowali się jeszcze trochę wspólnie nad moją fanaberią, po czym jęli mozolnie, dzień po dniu, wprowadzać mnie w tajniki sztuki dziennikarskiej. W wyniku tych działań spłodziłam parę tekstów o znaczeniu lokalnym oraz jeden o zjawisku krajowym. Zjawiskiem było masowe przekwalifikowywanie się rusycystów na nauczycieli innych języków, ponieważ, że tak powiem, podaż przewyższyła popyt.

Nieco później magazyn dla kobiet „Pani” opublikował krótką korespondencję z Japonii. Pisałam w niej między innymi, że każdy niemal potomek samurajów znał nazwisko Lecha Wałęsy (wymawanego u nich „Łaresa”) i nawet wiedział, z którego europejskiego kraju pochodzi.

Po powrocie z Japonii na dłuższy czas przestałam pisać zajmąwszy się między innymi rozwijaniem biznesu w dość prozaicznym celu uzyskania niezbędnych środków do życia. Jednak z powyższych przykładów jasno widać, że moim przypadku bez lustracji naprawdę się nie obejdzie. Wszak pod definicję dziennikarza można dziś podciągnąć każdego, nawet jeśli wszystko, co opublikował, to list do redakcji donoszący o ziejącej głębią dziurze w jezdni. Napisał – znaczy dziennikarz. Po co głupoty wypisuje. Jakby tak każdy

o dziurach na swojej ulicy pisał, to nie byłoby w gazetach miejsca na inne wiadomości...

Mając z czego żyć jakiś czas temu powróciłam do pisania. I niestety, już w IV RP wydrukowano kilka moich tekstów, co w zasadzie stawia mnie pod ścianą, by nie powiedzieć „na celowniku”. Nie były to listy do redakcji w sprawie dziur, ani też hymny pochwalne na cześć miłościwie nam panujących ministrów, wicepremierów, posłów i tym podobnych. Ponadto zeznam, że nawet pod groźbą utraty praw do wykonywania zawodu pisać zamierzam nadal. Choć oczywiście nie ma obowiązku czytania. Ostatecznie nie jest to mój zawód wyuczony, zatem tracić nie bardzo jest co. Najwyżej przejdzie się do drugiego obiegu – my, Polacy, mamy w tym zakresie pewne tradycje...

Jako osoba przedsiębiorcza, a więc lubiąca brać sprawy we własne ręce, wykonam sobie tę lustrację osobiście i w szerokim zakresie, żeby nie było niedomówień. W IV RP autolustracja powinna zresztą stać się przewodnim nakazem moralnym każdego porządnego obywatela. Po co angażować sądy, które i tak ledwo zipią, a ponadto lubią przedstawić prywatną opinię sędziego, o czym na własnej skórze przekonała się nasza była i znów obecna minister finansów, teraz już spektakularnie zlustrowana i gruntownie oczyszczona.

Teczki najlepiej zakładać świeżo urodzonym obywatelom już przy wyjściu ze szpitala. Najlepiej w kilku egzemplarzach, żeby potem nie było, że komuś teczka się gdzieś zawieruszyła, a on tu, biedaczek, właśnie ma zajmować kolejne lukratywne stanowisko. Proponuję rutynową aktualizację teczek w żłobku, przedszkolu, podstawówce i na wszystkich dalszych etapach edukacji i pracy zawodowej. Jedna kopia obowiązkowo dla IPN-u. Jako praworządne państwo unikniemy wtedy wielu nieporozumień w kraju oraz niekorzystnej *publicity* na arenie międzynarodowej.

Idąc z duchem czasu możemy stopniowo wprowadzać teczki w formie podskórnie wszczepianych czipów z możliwością identyfikacji, namierzania oraz nagrywania lustrowanej jednostki w systemie GPS (szczególnie w ostatnim przypadku jest to nie do pogardzenia, bo nagrywający nie będą musieli chować się po szafach, co z pewnością znacząco wpłynie na ich morale). Klasycy literatury światowej, tacy jak Huxley czy Orwell, także mieli w tych kwestiach sporo interesujących sugestii. Jednak w przypadku Orwella dotyczyły one niewłaściwego ideologicznie, przynajmniej w Polsce, roku 1984. Temat wymagałby zatem powołania stosownej komisji, by zbadała, czy i które pomysły obywatela Orwella miałyby rację bytu w IV Rzeczypospolitej (może

choć wszechobecna telewizja, której nie można wyłączyć?). Jedna komisja mniej czy więcej nie zrobi podatnikom różnicy – jak zwykle miało być taniej, a jest drożej, więc z pewnością nikt się nie połapie. W razie czego przykryje się to jakąś (seks)afera, tego ci u nas dostatek...

Bez porządnej teczki obywatela rzuca się bowiem na żer mediom. Niektóre z nich aż kipią od sensacji, gdyż każde spekuluje jak może (a jak nie może, to nie spekuluje, co jest zresztą dość oczywiste). Naród chodzi ogłupiony i nie wie, co ma o tym wszystkim myśleć. Ci, którzy jeszcze myślą, wyjeżdżają. Wróca, gdy będą na emeryturze, co stanowi prawdziwe błogosławieństwo dla naszego kraju. Wszak wtedy to nie ZUS będzie im wypłacał zasiłki starczające na przeżycie miesiąca o chlebie i wodzie, no, może od czasu do czasu z jakimś szaleństwem – butelką mleka pełnotłustego, dwoma jajkami na tydzień, a nawet kawalkiem szynki czy owocem egzotycznym bananem lub mandarynką. Z „emeryturkami” wpływającymi im na konta z innych krajów Unii Europejskiej będą stanowić rażący kontrast dla niefortunnych utrzymanków rodzimej instytucji ubezpieczeń społecznych...

Nie miałam, niestety, tego szczęścia, że wyszłam ze szpitala z odpowiednią teczką. Dali mi jedynie książeczkę zdrowia dziecka w mało atrakcyjnej szacie graficznej, już

zresztą nieaktualną. Ponadto na ową szatę wylał się kiedyś syrop Pini, sprawiając, że stała się jeszcze mniej atrakcyjna, a bardziej natomiast klejąca.

Książeczka zdrowia dziecka nie stanowi jednakowoż podstawy do uznania obywatela urodzonego w niesłusznych ideologicznie czasach za nadającego się do życia w praworządym państwie. Nie mam gwarancji, że za jakiś czas nie zechcę sięgnąć po dowolny urząd – w końcu posiada się kwalifikacje nie gorsze od co poniektórych posłów, a nawet lepsze – studia (za przeproszeniem) oraz matura (!) na piątki i czwórki. No, dobrze, jak lustracja to lustracja – były też jakieś trzy trójce. Za to **WSZYSTKIE EGZAMINY ZDANE** – bez wątpliwej i całkowicie, jak mniemam, zbędnej łaski amnestii maturalnej!!!

By uniknąć zatem problemów w potencjalnej karierze politycznej, w celach lustracyjnych cofam się pamięcią do chwili, w której pojawiłam się w naszej pięknej Ojczyźnie. Pod postacią niedużego i oczywiście ślicznego, lecz nieco zmaltretowanego porodem niemowlęcia.

Pragnę zaznaczyć, że nie pamiętam żadnych dat z najwcześniejszego okresu życia w PRL-u, który wbrew modnym obecnie opiniom naprawdę istniał, czego pisząca te słowa jest (jeszcze) żywym dowodem. Pamiętam natomiast pory roku, śnieg, słońce, wyjazdy do babci i zalewajkę

z serdelkami – wegetarianizm w Polsce dopiero raczkował. Szczegóły dawno minionych sytuacji i wydarzeń. Kolory i zapachy dzieciństwa.

Pamiętam też jedno z najbardziej irytujących powiedzeń: „dzieci i ryby głosu nie mają”, kończące wszelkie dyskusje z dorosłymi, nawet tymi, których autorytet brał się wyłącznie z faktu starszeństwa.

Otóż dzieci mają głos, i często mówią nader mądre rzeczy. Gdyby tylko ktokolwiek zechciał ich posłuchać, zanim, przepraszam za dosadność, wlał w dupę pasem. Wszak wtedy bicie należało do podstawowych i powszechnie akceptowanych zabiegów wychowawczych. Kto by tam nie bił – małe to, głupie i się pęta, zamiast spać sobie cichutko w kąciку i nie męczyć mamusi z tatusiem lub konkubentem. I w blokach, i na wsiach przekrój bijących był ogromny – nie zawsze były to jednostki pozostające „w stanie wskazującym”.

Dzieciak w PRL-u nie mógł dużo zrobić. Siedział sobie zatem na schodach, sam albo z rodzeństwem. Czasem przygarnęli go sąsiedzi, tradycyjnie udający, że nic się nie stało. Chłop musi wypić, a że potem bije? Normalka.

Dziś jesteśmy już na szczęście na nieco wyższym poziomie rozwoju. Mamy nawet Komitet Ochrony Praw Dziecka i odpowiedzialnego rzecznika oraz ogólnopolską akcję „Kocham, nie biję”. Spora część ludzkości ewoluuje

duchowo wbrew temu, co sądzą niektórzy. Naprawdę jest z czego cieszyć (ewolucja zaczęła się już w Trzeciej Rzeczypospolitej, czy to się komuś podoba czy nie – na miarę naszych sił i możliwości).

Choć obilo mi się o uszy, że panie, które zamierzają oddać świeżo urodzone dziecko do adopcji najpierw idą odebrać becikowe, co znacznie opóźnia drogę niemowlęcia do czekających na nie rodziców adopcyjnych. Tak więc przepisy sobie, a rzeczywistość i tak skrzeczy. Becikowe pozostaje chybioną jednorazową zapomogą, na którą ewentualne przyszłe matki nie rzucają się z krzykiem entuzjazmu.

Pozorna hojność państwowego datku może jednak przemawiać do osób, które zamiast myśleć o kolejnym dziecku, powinny najpierw wytrzeźwieć. Na trzeźwo bowiem lepiej widać, w jakim stanie znajduje się dotychczas spłodzone potomstwo. I co dalej? Bo że kolejne becikowe na długo nie wystarczy, to chyba jasne.

Za to już wkrótce rodzice będą mogli zaszaleć. Na każde dziecko dostaną łącznie aż sto dwadzieścia złotych odliczenia od podatku, czyli lekką ręką całe dziesięć złotych miesięcznie. Dla ułatwienia dodam, że duża paczka dobrej jakości pieluch oscyluje cenowo wokół czterdziestu dziewięciu złotych, że o pozostałych akcesoriach, wyżywieniu, ubrankach,

rozrywkach i opiekunkach dla przyzwoitości nie wspomnę. Jako naiwniak prowadzący działalność gospodarczą nie rozliczam się według skali podatkowej, toteż akurat mnie ulga na dzieci nie przysługuje. Nie od dziś w Polsce karze się przedsiębiorczych – siedziałby jeden z drugim na zasiłku dla bezrobotnych, to by miał. Ci, którzy prowadzą własną firmę (w domyśle: kombinują), są już i tak na plusie. Fiskus szybko się uczy się, promocje w handlu też się nie sumują – albo rybki, albo akwarium.

No i dobrze. Nie będę musiała być wdzięczna drogiemu ministerstwu finansów za jałmużnę w postaci jednej piątej paczki pieluch gratis miesięcznie. Choć z drugiej strony to niemal dwie i pół paczki pieluch rocznie – prawdziwy gest, za który łaskawemu rządowi pokornie dziękujemy i padamy do nóżek. Z zaznaczeniem, że wychowanie dziecka jest procesem długofalowym – koszty rosną proporcjonalnie do wieku, co polecamy uwadze naszych decydentów. Rodzicem zaś nigdy nie przestaje się być.

Z drugiej strony nikt człowiekowi nie każe fundować sobie potomka, a na dodatek bezczelnie oczekiwać z tego tytułu korzyści materialnych od Bogu ducha winnego państwa. Nie żyjemy w Polsce Ludowej. A że inne kraje europejskie wspierają rodziców? Jak nam się nie podoba – droga wolna! Nikt nas tu przecież siłą nie trzyma. Rząd, który ciężko pracuje nie będzie się jeszcze użerał z takim roszczeniowo

nastawionym społeczeństwem...

To taka mała dygresja była. Z czasów nowożytnych.

Dalsza treść **nie jest** peanem na cześć minionego ustroju, a jedynie **subiektywnym opisem** zgrzebnej rzeczywistości, w której przyszło mi spędzić dzieciństwo i wczesną młodość. Rzeczywistość tę dzieliłam ze sporą grupą małoletnich obywateli, w tym, o dziwo, nawet z naszym byłym (yes!) ministrem edukacji, który też ponoć kiedyś był dzieckiem. Nie wiem tylko, czy bycie małym chłopcem nie podpada czasem pod teorię ewolucji, raczej mało popularną w zbliżonych do niego kręgach.

Piszę więc i dla urodzonych, i dla stworzonych (zgodnie z wierzeniami kreacjonistów) pod koniec lat sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych, a także dla tego przeciętnego, chudego i trochę zakompleksionego dzieciaka, który nadal we mnie tkwi. Piszę także dla Was, drodzy młodzi przyjaciele, licząc, że gdy poczytacie sobie o tych zamierzchłych czasach, będziecie w stanie pełniej docenić wszystkie atuty życia w demokracji. Nawet takiej, jak „wesola” i populistyczna IV Rzeczypospolita, budząca liczne skojarzenia z lasem Sherwood z opowieści o Robin Hoodzie. To także nasze wspólne europejskie dziedzictwo, z którego jak widać czerpiemy bez umiaru. Z tym że u nas Robin

Hooda dość trudno zidentyfikować, a chciwych szeryfów mamy jakby w nadmiarze, ale jak to się mówi – od przybytku głowa nie boli. Na szczęście paszporty leżą w szufladach, więc kiedy się chce można polecieć odreagować zagranicą. Tam też, co prawda, nie wszędzie jest kolorowo, za to jakby więcej luzu. Psychicznego.

Luz z dzieciństwa wspomina się dzisiaj z lezką w oku. Był to czas, w którym najbardziej szara rzeczywistość wyglądała interesująco, toteż te same wydarzenia w oczach dziecka i dorosłego mogły się diametralnie różnić. Przyznaję wszem i wobec, że było mi wtedy wszystko jedno, kto stał u sterów władzy. Potwierdzam jednak, że „lud pracujący miast i wsi” upamiętnił jednego z naszych ówczesnych „sterników” w prostych, lecz działających na wyobraźnię każdego dziecka słowach: „Chcesz cukierka – idź do Gierka! Gierek ma, to ci da.” Działających na wyobraźnię w zakresie ewentualnych posiadanych przez towarzysza G. słodczy oczywiście, nie zaś samego towarzysza. O tym jednak będzie dalej, uprasza się zatem szanownego P.T. Czytelnika o cierpliwość i zrozumienie.

Notabene, skrót „P.T.”, szczególnie w zwrotach „P.T. Klienci”, widniejący we wszystkich odmianach języka polskiego na tabliczkach w peerelowskich sklepach zawsze

mnie fascynował. Dopiero w epoce Internetu udało mi się dowiedzieć, o co chodziło. Otóż, bynajmniej, nie byli to „przemili i troskliwi Klienci”, ani też „państwo towarzysze Klienci”, jak chcą niektórzy. P.T. to skrót z łaciny oznaczający „pleno titulo”, a więc pełnym tytułem. Gdy upokorzony staniem w kilometrowej kolejce klient miał dosyć, to spojrzał sobie na tabliczkę, i od razu mu było lepiej. Pełnym Tytułem Klient, a zatem „Klient pełną gębą”, w której to zresztą nadziei pojawił się w sklepie.

Pozdrawiam serdecznie, prosząc o wyrozumiałość, jeżeli zawodna pamięć przeoczyła fragmenty tamtego świata, które były dla Was istotne.

PS Mam nieodparte wrażenie, że wielu z naszych obecnych polityków świetnie zna wspomnianą już powieść Orwella „Rok 1984”. Co więcej, zaczerpniętą stamtąd wiedzę stosują oni sprawnie i bez zahamowań na co dzień, i to nie tylko w kwestii przemówień, lecz chociażby w praktycznym montowaniu i demontowaniu tak zwanej koalicji.

Powinniśmy się cieszyć, bazujemy na dobrych wzorcach literatury światowej. Bo w naszej nie ma zbyt wielu wątków dających się zaadaptować dla celów lustracyjnych – z wyjątkiem niewątpliwie wizjonerskiego pomysłu Stefana Żeromskiego z dzieła pt. „Przedwiośnie”.

Tu jednak wchodzi nam w paradę Unia Europejska – eurosceptycy zacierają ręczki – zaostrome normy (współczynniki ciepła itp.) nie pozwalają na stawianie szklanych domów dla ludności. To doprawdy niepowetowana strata. Wszystko byłoby widać jak na dłoni, i w kuchni, i w szafie (ściennej), a nawet w toalecie. Stosowna ustawa lustracyjna regulowałoby kwestię zasłon, franek, rolet i żaluzji – wyłącznie dla oczyszczonych, i to jedna sztuka na rodzinę, po przedstawieniu teczek wszystkich członków do trzeciego pokolenia wstecz (eliminując czynnik niepożądany w postaci dziadków w Wehrmachcie itp.), eks-małżonków, kochanków, przyjaciół, znajomych, sąsiadów, księży chodzących „po kołędzie” i zwierząt domowych, no, może z wyjątkiem rybek akwariowych. Rybkom wszak nieczęsto zdarza się nadziać na agenta.

PS2 W czasie lektury tu i ówdzie natkniecie się na moje „trzy grosze” ze współczesności. Jak na „klasyczną” lustrację przystało, powinnam się skupić na czasach Polski Ludowej i III Rzeczypospolitej, ale naprawdę nie mogłam się powstrzymać. Sorry, Winnetou – jak mawiał Old Shatterhand. Weteranom życia w PRL-u, którzy nie mają już siły czytać o urokach IV RP szczerze doradzam zaopatrzenie się w drewniany stempelek z napisem „Ocenzurowano” oraz gruby czarny pisak. Za ich pomocą łatwo i przyjemnie

pozbędziecie się wszelkich niepożądanych akapitów. Do pozostałych zaś będziecie mogli wracać jeszcze wielokrotnie – mam nadzieję, że z dużą przyjemnością.

PS3

Lojalnie uprzedzam, że wszystkie imiona i nazwiska wymienionych w tekście jednostek, z wyjątkiem osób publicznych, zostały zmienione (a jakiegokolwiek podobieństwo do istniejących osób i zdarzeń jest oczywiście najzupełniej przypadkowe). Dzięki temu prostemu zabiegowi utwór jest tylko moją „lustracją”, a osoby, które miały ze mną taki czy inny kontakt, nie będą pociągane do odpowiedzialności karnej.

Jak już wspominałam, tekst w niektórych miejscach jest także komentarzem i protestem szarej obywatelki, urodzonej przed rokiem 1972, przeciw aktualnej polskiej rzeczywistości. Z większym lub mniejszym przymrużeniem oka, ale jednak protestem.

Spis treści

PODZIĘKOWANIA	5
Droga Czytelniczko, drogi Czytelniku!	9
Wstęp do wydania pierwszego	13
DZIECIŃSTWO	27
SZKOŁA PODSTAWOWA	80
LICEUM	243
Specjalny Dodatek kulturalny	350